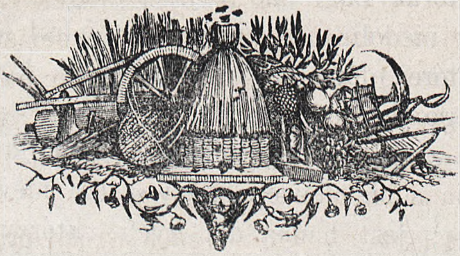
Tom XV. Nr. 10.

1. października 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gmina i jej sprawy.

IV. Szanowanie pamiątek.

Wypada nam jeszcze wspomnieć o jednym obowiązku moralnym należącym do gminy, który daje świadectwo o zacności i wykształceniu gminy. A chociaż to co zacne i słuszne, powinno być samo z siebie w sercu każdego poczciwego człowieka i mówić mu o tem nie trzeba — toć przecię kiedyśmy sobie zamierzyli pisać o rzeczach publicznych, to jest o różnych prawach i obowiązkach publicznych, to jużciż nie można pominąć rzeczy, która nie jest najmniejszą, owszem należy do rzeczy bardzo szlachetnych i dobre świadectwo daje o ludziach, którzy u siebie o niej pamiętają. Otóż tą rzeczą publiczną, tym moralnym obowiązkiem należącym do gminy, jest: s z a n o w a n i e i p r z y z w o i t e u t r z y m y w a n i e pamiątek publicznych.

Za naszych czasów powznosiły się daleko wzdłuż i wszerz po ziemi, krzyże i inne pomniki, na pamiątkę zniesienia pańszczyzny. Chwalebna jest rzecz, iż ludzie uczuli jak piękną jest swoboda, jak przykrą była niewola, a na pamiątkę tej

szczęśliwej przemiany losu ludzkiego, postawiali te pomniki, aby każdy przechodzień wspomniał sobie na to, co było przed laty, aby dziękował Bogu że się opiekuje losem ludzkości, podźwignął ją z niedoli, aby każdy też starał się być godnym tej wolności, której dostąpił; aby wolność kochał i stał się godnym zupełnego jej dokończenia.

Pomniki te zachęcać mają młodzież do miłowania wolności, a do obrzydzenia sobie niewoli: bo wszelka niewola jest podłą, nieludzką rzeczą; jest hańbą dla tych, którzy ją cierpliwie znoszą i nie czynią rozumnego i godziwego starania, aby się z niej wydobyć. Więc takie pomniki są ostrzeżeniem, aby się ludzie uczyli, jak niewola na świat przyszła i jak z niego powoli ustępuje; a są też przypomnieniem, aby ludzie miłując wolność, nie dali się nigdy niewoli ujarzmić. Więc też chwalebną jest rzeczą aby pomniki te, dla nauki przyszłych pokoleń, były szanowane.

Lecz nie koniec na utrzymaniu tych świeżych pamiątek. Szanujemy je, bo są pomniki ważnej zmiany naszego losu, są pomnikiem wolności, drogiemi być powinny, i będą zawsze drogiemi człowiekowi, który się przy nich wychował: lecz tu jeszcze nie koniec; dla serca tu nie dosyć. Przy tych pomnikach nie ma pamiątki poświęcenia, nie ma pamiątki ofiary, która do duszy pokoleń przemawia. Usamowolnienie ludu przyszło, jak przychodzi światło słoneczne po nocy; jak owoc dojrzały, który odpada od drzewa, ani go drzewo przemocą nie trzyma, ani się owoc gwałtem nie wydziera. Nie było tych coby chcieli niewolą utrzymać, nie było tych, coby przeciwko niewoli walczyli i dla swojej wolności ofiary ponieśli. Ci co mieli prawa panowania, o te prawa nie dbali, ci co mieli obowiązki posłuszeństwa, wolności się nie dopominali. Wolność przyszła, jak przychodzi wolność ptaszkowi, którego ptasznik z klatki sam wypuszcza — jak przychodzi zieloność wiosny, kiedy ciepło słoneczne rozpuści lody i ziemię rozgrzeje. Światło duchowe oświeciło rozumy ludzkie, ogrzało serca mnóstwo ludzi i uczyniło je czułemi na cierpienia swoich spółbraci. Złe minęło, bo się nie mogło ostać obok oświeconego rozumu i poprawionego serca.

Lecz bywają między nami także inne pamiątki, przy których są pamiątki cierpień i krwawego poświęcenia dla dobra publicznego. Bywają nagrobki w kościołach, posągi lub słupy przy drogach, mogiły w polu i stepach, w których spoczywają kości ludzi dawnych, co bronili tej ziemi, na której dzisiaj swobodny lud żyje. Byli to ich przodkowie, co nie w swobodnem życiu, ale w trudach i walce polegli, może przeciwko pogwałcicielom tej ziemi, może przeciwko pogwałcicielom sumienia: Takiej krwi, takiemu poświęceniu, cześć się należy. Takim prochom należy się religijna pamięć w modlitwie; takim pomnikom należy się poszanowanie i przyzwoite utrzymanie dla pamiątki najpóźniejszych pokoleń.

Bywają też miejscami stare drzewa, stare gaje, o których pamięć ludzka przechowuje różne ciekawe o dawnych czasach opowiadania. Należy takie miejsca strzedz od wszelakiej psoty i zniszczenia, choćby tylko dla dawności samej, bo kto przeszłość szanuje i o niej pamięta, ten przyszłości godzien i o nim przyszłość pamiętać będzie.

Taką samą pamięć jak o pomnikach widomych, należy zachować o pamiątkach; które nie zawsze pomniki widome mają. Bywają ludzie, którzy się gminie zasłużyli; bywają ważne zdarzenia, które tę gminę obchodzą, które w dobrych sercach żyją, z których wypłynęło jakieś dobro dla ludzi i cześć dla nich urosła w pamięci ludzkiej: należy tę pamięć przechować od pokolenia do pokolenia, przez uroczystości kościelne, przez uroczystości gminne, dla uczczenia tego, co godne uczczenia.

Ojcowie gminy dla zachowania tych pamiątek i tej cześci, nie powinni sobie folgować i dopuszczać niedbalstwa. Młodzież, która wzrasta pod ich bokiem, uczy się na jej przykładach i taką się staje jak oni. Uczy się poszanowania zacności, albo niedbalstwa o nią, według tego co widzi koło siebie: a za tem idzie dobro gminy i przyszłych jej pokoleń. Kto się nauczy szanować to co dobre, to sam dobrym będzie. Kto się nauczy czcić to co poświęcone, to i serce jego będzie poświęcone. Kto daje przykład poszanowania starości, to i jego starość poszanowaną będzie; kto przeszłość szanuje i o niej pamięta, to i sam przyszłości godzien i o nim przyszłość pamiętać będzie.

V. Urząd gminny.

Przeszliśmy główniejsze prawa i obowiązki gminy, które jej służą do strzeżenia i użytkowania swojej własności, czuwania nad bezpieczeństwem i porządkiem miejscowym, moralnością publiczną, oświatą i uobyczajeniem swojem.

Po tych uwagach moglibyśmy się zapytać, jakże to gmina przystąpić może do wykonania różnych prac około swojego dobra, około potrzeb swoich, praw i obowiązków swoich wtenczas, kiedy już jej to wszystko uczynić wolno? Gmina składa się z kilkuset, kilku, czasem kilkunastu tysięcy i więcej mieszkańców. Wszyscy mieszkańcy gminy mają równe prawa do zawiadywania potrzebami spólnej gminy: któż tam ma o czem mówić, kto co wykonywać, jeżeli wszyscy mają równe prawa? Toć chyba wszyscy razem mają radzić i rządzić i robić? Cóżby to był za gwar. Ktoby tam doszedł końca co robić wypada; ktoby tam doszedł tego co jest wolą gminy, kiedy gmina składa się z tysiąca głów, a co głowa to rozum, a co najwięksi próżniacy to krzyczećby woleli raczej niż słuchać, o wygodę swoję raczejby dbali niż o potrzeby gminy, skłonniejsi byliby do rozkazywania, niż do porządku i pracy? Gdzie tam dojść końca, od czego zacząć i czyja wola ma być wykonaną? W takiej gminie zaprawdę nie byłoby równości, nie byłoby wolności, bo tam prędko burdy i zawadyactwo wzięłyby górę, zahukanoby ludzi porządnych i spokojnych, przewrotność wzięłaby górę nad rozumem i sprawiedliwością, zuchwałość nad skromnością; nie byłoby równości i wolności, ale byłaby swawola i ucisk. Kto zuchwalszy to byłby głośniejszy i pierwszy, a kto mocniejszy to lepszy. Taka równość byłaby nierównością, bo prawda i rozum nie miałaby równego głosu. Taka wolność byłaby niewolą słabszych pod mocniejszymi.

Rozum obmyślił na to sposoby, jak temu zaradzić, aby w czynnościach gminy wyszedł na jaw najlepszy rozum gminy, najlepsza wola gminy, aby przyszło do wykonania to, co sprawiedliwe i pożyteczne dla gminy, bez kłótni i wrzawy całej gminy, a jednak z poszanowaniem równego prawa i woli wszystkich mieszkańców należących do gminy.

Dzieje się to za pomocą porządku, który u rozumnego człowieka powinien być w każdej czynności, a który jest jedynym sposobem na to, aby wolność każdego członka gminy była zachowaną, a mimo to nie było ani zwad, ani nieładu, ani też żadnego zamieszania w sprawach gminy. O tym porządku jeszcze kilka słów na drugi raz wam powiemy.

(Dokończenie nastąpi.)

Dobroć Boga.

Czy niebo ozdobione księżycem, gwiazdami,
Czy na ziemię spoglądam ubraną kłosami,
Czy spojrzę na srebrzyste rozliczne mórz zdroje,
Wszędzie widzę mój ojcze dobrodziejstwa Twoje,
Twa dobroć Panie, kwiaty po łąkach rozsyła,
Otoż róża niewinny pączek swój rozwiła,
Oto fiołek skromny woń do koła roni,
Oto po rojowniku pszczoła pszczołę goni;
A ptaki ulatując w powietrzne przestrzenie,
Wdzięczności jednozgodne nucą tobie pienie.
O piękne przyrodzenie! — w każdym Twoim kwiecie
Widać całą twą świetność tak, jak w całym świecie,
Tenże duch ziółko żywi, co w dębie panuje;
Duch, którym słońce żyje — księżyc w sobie czuje!
Człowiek widząc tak wielkie, piękne przyrodzenie,
Poznaje, żeś Ty dobry, dobry nieskończenie,
A największym z Twych darów, czuciem obdarzony,
Gdy czuje Twoją dobroć, już uszczęśliwiony.
Ojcze najdobrotliwszy, ale sprawiedliwy,
Coś te zadziwiające poutwarzał dziwy,
Panie doli i życia, którego opieka,
Rządzi dolą i życiem każdego człowieka,
Niech ludzie Twoją dobroć we wszystkiem poznają,
Niech Cię jako ojca swego i czczą i kochają,
Dobry człowiecze! Pan ten o tobie pamięta,
Ty nie zapomnij nigdy: wola Jego święta!
Dokąd srebrna jutrzenka blask przyjemny nieci,
Dokąd spokojny księżyc na niebiosach świeci,
Dokąd się toczy złoty krąg jasnego słońca,
Nie trać nigdy nadziei — ale czekaj końca!

Józef Borkowski.

Stach rekrut,

czyli:

Dobrym wszędzie, dobrze będzie.

Powiastka.

We wsi Kopanówce żyło dwóch młodych parobczaków, Stach i Jonek. Byli oni sobie blizcy krewniacy, bo stryjeczni bracia, ale między jednym a drugim nie zachodziło żadne podobieństwo. Stach był ubogi i to bardzo ubogi, a Jonek tymczasem wziął był po swym ojcu chatę porządną, bydła pięknego dużo i gruntu morgów ze trzydzieści. Stach tymczasem nie miał nic a nic na świecie, jeno zdrowe ręce i staruszkę matkę, na którą musiał pracować.

Ojciec Stacha doznał był w życiu wielu klęsk i najrozmaitszych nieszczęść, a przed śmiercią już tak był zeszedł na biedę, że gdy biedaczysko zamknął powieki, to zaraz po pogrzebie sprzedali jego chałupę i kawałeczek gruntu za rozmaite długi, a wdowa i jej syn Stach zostali w wielkim niedostatku.

Ale co to znaczy niedostatek, jeżeli kogo Bóg opatrzy dobrem zdrowiem, dobrem sercem i dobrą chęcią do pracy! Wierzcie mi, moi dobrzy ludzie, dwie zdrowe ręce i szczera ochota do pracy starczą za nie jedno mienie — a tak są silne, że się ich i bieda, i głód i chłód przestraszą! Tak też było i z Stachem. Sam był młody a nie miał żadnego dobrodzieja i opiekuna na świecie, jeno chorą matkę staruszkę, a przecież dał sobie radę, i w pocie swego czoła pracował najpierw na matkę, a potem na siebie. Zaraz, kiedy im chałupę sprzedano za długi nieboszczyka ojca, sprowadził się Stach z swoją starą matunią na komorne i pracował co sił stało, a Bóg mu błogosławił, bo praca jego żywiła matkę, a wiecie przecie, że Bóg tym, co o rodziców swych dbają, już na tym świecie pomaga łaską swą świętą.

Jak już zaraz na początku powiedzieliśmy, miał Stach bliskiego krewniaka, brata stryjecznego, Janka. Tego Janka odumarł także ojciec, ale zostawił mu piękny majątek. Janek miał także matkę starą, ale na nią pracować nie potrzebował,

bo mieli z czego żyć podostatkiem. Myślicie zapewne, że Janek, kiedy był taki zamożny, to wspierać i pomagać był powinien swemu stryjecznemu bratu Stachowi? A jużci że był powinien według wszelkiego ludzkiego i Bożego prawa — ale cóż znaczy boże i ludzkie prawo, jeżeli człek nie ma w swem własnem sercu tego pięknego prawa, które się zwie litości wem sercem i zacnem sumieniem? Janek nie miał ani serca ani sumienia — to też prędzej by był jaki zupełnie obcy człowiek pomógł biednemu Stachowi i jego starej matce, niż on. Zrazu, zaraz po śmierci, to się matka Stacha udawała po poratunek do bogatego Janka, ale nietylko że jej Janek nie poratował, ale nawet dobrego słowa jej nie dał, jeno w gniewie z swej chaty ją wypędził.

Stach tedy już się nawet nie przypominał nigdy swemu stryjecznemu bratu, jeno poprzestał na własnych siłach i pomocy bożej i krwawą pracą żywił siebie i swoją matkę. Nieraz gdy się Stach spracował mocno, zapłakała biedna staruszka i mówiła mu:

— Idź Stachu do Janka i poproś go raz jeszcze o poratunek, może teraz będzie lepszy i serce go poruszy, bo się inaczej biedny synu zapracujesz na śmierć lub chorobę.

Ale Stach odpowiadał na to zawsze:

— Nie matuniu, nie zobaczą już progi Janka nóg moich! Wolę ja dzień i noc pracować, niż prosić o pomoc niedobrego krewniaka, co ma twarde serce jak kamień.

Jakoż nie prosił już o nic Janka — ale zwijał się żwawo i ot żyli sobie z matką jako tako — o tyle przynajmniej, że im chleba i przytułku nie brakło.

Ale Bóg i dobrych doświadcza; na najsprawiedliwszych ludzi zsyła on krzyżyki. Przyszła branka. Stach i Janek musieli się stawić razem do wojska. Janek poradził się w mieście, bo miał za co się radzić i dowiedział się, że jako syn jedynak na gruncie u matki wdowy jest wolny od służby wojskowej. Napisali więc zaraz Jankowi w mieście pismo i wnet przyszło mu uwolnienie.

Stach był także jedynakiem i miał matkę biedną wdowę, więc wedle tego samego prawa był także wolny od służby wojskowej — ale że o tem nie wiedział i że będąc biednym nie umiał sobie jakoś poradzić i w czas o pismo reklamacyjne postarać, więc stało się nieszczęście, że Stacha biednego wzięto do wojska od biednej matki. Było wtedy płaczu i smutku i narzekania co nie miara i chyba Bóg policzył łzy tych sierot — ale na razie nie było rady. Stach musiał pójść ze wsi. Na szczęście jednak puszczono go niebawem na urlop i powiedziano mu, że jak się o to na piśmie upominać będzie to go uwolnią od wojska.

Stach wróciwszy do domu wielką tem sprawił uciechę swojej matce i właśnie zabierał się do wygotowania podania o uwolnienie, gdy naraz nadeszła wieść o wojnie z Prusakiem i Stacha znowu powołali do wojska. Stach podał swoje pismo, ale musiał iść, bo kto już raz został żołnierzem, temu trudno uwolnić się podczas wojny.

Biedna matka mało ócz nie wypłakała, gdy Stach miał iść do swego pułku. Pocieszał ją biedaczysko, jak mógł, ale mu samemu serce się krajało, bo wiedział, że jak matkę opuści na długo lub broń Boże zginie na wojnie, to biedna staruszka o kiju żebraczym poniewierać się będzie pod cudzemi płotami.

W tym ciężkim i boleśnym przypadku, umyślił Stach pójść do swego stryjecznego, Janka i prosić go, aby wspierał jego matkę, gdy on pójdzie na wojnę. Myślał Stach, że może się serce Janka przecież ulituje, ale się zawiódł nieborak.

Stach przyszedł do Janka i mówi mu:

— Bracie, jak wiesz nigdy niczego od ciebie nie żądałem, nie naprzykrzyłem ci się nigdy żadną prośbą. Ale teraz, patrz, idę na wojnę, kto wie jak długo potrwa, a kto wie czy i powrócę, zaklinam cię na pamięć twojego ojca, który był bratem mojego, miej też staranie o mojej matce i wspieraj ją podczas mej niebytności, a jeźlibym nie powrócił, to przyjm ją do swej chaty. Staruszka długo już żyć nie będzie więc też i długo ci nie zawadzi!

Janek się skrzywił, zchmurzył czoło i rzekł:

— Tego uczynić nie mogę, bo ja ani twego majątku nie wziął, ani mam powinność dla twojej matki. Do domu przyjąć twojej matki nie mogę, bo się żenię, więc nie ma w chacie miejsca, a pieniędzy też nie mam, bo mi na zaloty potrzeba Ale na drogę to masz kilka grajcarów.

I niedobry Janek wyjął z kieszeni kilka miedziaków i wcisnął je do ręki Stachowi, jakby żebrakowi jałmużnę.

Stach rzucił mu te miedziaki na ziemię i rzekł:

— Bywaj zdrów bracie! Niech ci tego Bóg nie pamięta!

I zaraz wyszedł z chaty. Kiedy już był na drodze, żal srogi zalał mu serce i z oczu łzy mu spłynęły. Brała go rozpacz bo nie wiedział, pod jaką opiekę oddać biedną matkę, aby mogła mieć choćby suchy kawałek chleba. Nareszcie wpadła mu myśl szczęśliwa do głowy: postanowił pójść do proboszcza.

Przyszedłszy tam, opowiedział jak rzeczy stoją a opowiadając, z rzewnego płaczu wstrzymać się nie mógł. Proboszcz mało sam nie zapłakał na ten widok i rzekł rozczulony:

— Nie bój się Stachu, już ja twoją matkę wezmę pod opiekę. Niech zostanie tam na komornem gdzie jest teraz a ja już za nią zapłacę i nakarmię, póki ty nie wrócisz a da Bóg to wrócisz prędko, bo ja sam i gromada będziemy pisać za tobą, to cię nawrócą prędko, bo ty według prawa wolny od służby w wojsku.

Skłonił się Stach proboszczowi, uściskał mu kolana i ucałował ręce.

— A kiedy idziesz? — zapytał go xiądz proboszcz.

— Jutro raniutko — odpowiedział Stach.

— Idź mój synu! idź z Bogiem — rzekł wtedy xiądz proboszcz — błogosławię ci. Bóg cię poprowadzi bezpiecznie, boś ty syn dobry a Bóg dzieci dobrych nie opuszcza. Będzie cię On strzegł w niebezpieczeństwie, będzie chronił od ręki nieprzyjacielskiej, uchyli od ciebie krwawą broń i kulę śmiertelną!

Stach otrzymawszy to błogosławieństwo proboszcza, uczuł wielkie ulżenie na duszy i wrócił już spokojniejszy do domu. Nie będę wam opisywać ostatnich chwil pobytu Stacha w domu

i płaczu jego matki, bo to już sami sobie wyobrazicie. Wszakże to nie jeden z was, ojcowie, przyciskał do serca syna, który musiał iść w rekruta, w obce dalekie kraje, na wojnę; nie jedna matka oblewała łzami swoje dziécię, gdy go prowadzili na obcy naród, na szable i armaty!..

Był to ranek piękny, kiedy Stach z małym węzełkiem na plecach, z kijem w ręku i w niebieskiej czapce żołnierskiej iść musiał do miasta, zkąd go mieli prowadzić dalej i dalej na marsze, na trudy, na bitwy. Słonko wypłynęło na niebo jasne i czyste — ale w duszy Stacha był żal i smutek. Szedł z pochyloną głową i dumał, gdy naraz za nim dał się słyszyć turkot woza i trzask z bicza.

Stach obejrzał się i zobaczył swojego stryjecznego brata Janka. Janek miał się żenić w drugiej wsi i jechał z starym Mateuszem, swym swatem, do rodziców dziewczyny, która miała bardzo bogate wiano. Janek był ubrany w świąteczną sukmanę za piękną wstążką przy kapeluszu zatkane były pawie piórka i czerwony kwiatek, rozparł się obok Mateusza na nowym kutym wozie i trzaskał z bicza raz po razu.

Kiedy wóz mijał biednego Stacha rekruta, a stary Mateusz ujrzał smutną twarz biednego chłopaka, rzekł do Janka:

— No słuchaj Janku, stańmy i weźmy Stacha, podwiezicmy go trochę!

— Owa! jeszcze co! — zawołał Janek — niech się piechotą zaprawia do marszu!

I zaciął konie co siły, trzasnął z bicza a wóz jeno się mignął po białej drodze.

Stach jeno spojrzał za wozem, potem zatrzymał się zeszedł z drogi na pagórek, zkąd było widać wieś jeszcze — popatrzył tęsknem okiem na stare chaty, na zielone sady, na śrebrny smug rzeki i na białą wieżę kościółka, westchnął, łzy obtarł i poszedł dalej!... Bóg niechaj cię wiedzie, biedny ty, biedny chłopcze!

Jak wiecie dopiero co przed sześciu tygodniami skończyła się wojna austryjackiego cesarza z królem pruskim. Krwawa

to była wojna i straszna — a nieszczęśliwie wypadła dla cesarza. Prusacy we wszystkich bitwach wygrali i wielkie zabrali zdobycze. Niedługo trwała wojna, bo ledwie dwa tygodnie, ale ile chwilek w tych dwóch tygodniach, tyle matek płacze swych synów, tyle sierot boleje nad swymi ojcami, co tam na polach czeskich w niemieckiej wojnie polegli śmiercią żołnierską, daleko od swego kraju, od swojej ziemi ukochanej.

Oto w tej wojnie był i nasz Stach biedny. A jakie jego były przygody, zaraz wam opowiemy. Wpierwej jednak musimy dodać, że do okropności tej wojny i to należało, że bili się w niej Polacy z Polakami, Galicjanie z Poznańczykami. Wiecie że król pruski ma pod sobą część dawnej naszej Polski, którą się podzieliły Austrja, Prusy i Moskwa. Otoż żołnierze z tej części Polski pod Prusakiem, z Xięstwa Poznańskiego byli także w tej wojnie. Kiedy więc po stronie pruskiej musieli iść na ogień Polacy z Poznańskiego, to znowu po stronie austryjackiej byli żołnierze Polacy z Galicji. Zdarzało się tedy na tej wojnie, że Polak musiał strzelać na Polaka. Była to wojna istotnie bratobójcza, bo Niemcy bili się z Niemcami a Polacy z Polakami!

Stach był zaraz w pierwszej bitwie. Kiedy oba wojska, pruskie i austryjackie stanęły na przeciw siebie i zaczęły już grzmieć armaty a lada chwila miał nadejść rozkaz do szturmu na bagnety — Stach wspomniał raz jeszcze na swą starą matkę, na wioskę rodzinną i polecił się opiece bożej, wzywając w pomoc Najswiętszą Pannę, która zawsze jest patronką w nieszczęściu.

Pułk, w którym był Stach jeszcze chwilkę miał zaczekać a potem iść z bagnetem na nieprzyjaciela, więc Stach użył tej małej chwilki czasu i począł powtarzać z szczerem nabożeństwem tę starodawną pieśń polską:

Kto się w opiekę poda Panu swemu
I całem sercem szczerze ufa Jemu,
Śmiele rzeć może, mam obrońcę Boga
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga!

Gdy Stach skończył tę pieśń — patrzał spokojnie na świstające kule, a żadna go nie tknęła, tak jak mówi ta pieśń piękna:

Ztąd wedle ciebie tysiac strzał polęże
Ztąd drugich tysiąc, ciebie nie dosięże!

Naraz przyszedł rozkaz, aby pewna część pułku poszła na straż do armat. Między tymi, których tam posłali, był i Stach. Kiedy tak stali koło armat, zaraz jeden pułk pruski rzucił się na armaty, aby je zdobyć. Zaczęli okropnie strzelać Prusacy na żołnierzy broniących armat, a wystrzelawszy ich prawie do połowy swymi karabinami, z których sześć razy na minutę każdy żołnierz wystrzeli, rzucili się w biegu na resztę. Stachowi nic się nie stało.

Gdy Prusacy dopadli już do samych armat, rozpoczęła się okrutna walka kupkami. W jednej takiej kupce, jakiś stary żołnierz pruski padł na ziemię ciężko ranny. Żołnierz austryjacki co był tuż koło Stacha, wymierzył bagnet i chciał już dobić pruskiego żołnierza, kiedy Stach wytrącił mu karabin i zawołał:

— Człowieku! jak śmiesz zabijać tego biedaka, kiedy już ranny jest i bezbronny! Żołnierz walczy honorowo, ale nie morduje rannych!

— A co się tam za nim ujmujesz — odpowiada żołnierz, toć to jeno Prusak bestyja!

Wtedy ów ranny żołnierz pruski rzekł słabym głosem:

— Oj nie Prusak ja! choć w pruskim mundurze jestem. Ja Polak taki jak wy i ojciec pięciorga dzieci.

Ścisnęło się serce Stachowi i jeszcze go większa litość wzięła, więc chciał biednego rannego odnieść trochę na bok, aby go nie stratowano, ale ledwie z nim krok uszedł, gdy Prusacy wzięli górę, otoczyli do koła armaty i zabrali do niewoli żołnierzy, którzy ich bronili. Tym sposobem i Stach dostał się do niewoli pruskiej.

Co się dalej stało z Stachem?...

Kiedy go wzięli do niewoli, ów ranny żołnierz pruski, któremu Stach życie uratował, a który nie był bardzo ciężko ranny i wnet o tyle do siebie przyszedł, że mógł nawet chodzić, wziął go pod swoją opiekę.

Dziękował on Stachowi jako swemu wybawcy najczulej i przysiągł mu wdzięczność dozgonną:

— Coby się było stało z moją żoną i mojemi dziećmi, gdybyś mnie był nie uchronił od bagnetu twego rozjuszonego kamrata? — mówił ranny ów żołnierz i ściskał serdecznie Stacha.

Żołnierz ten pruski nazywał się Krzywoń a był zamożnym gospodarzem z jednej wsi pod Poznaniem. Miał już lat czterdzieście — bo w Prusiech każdy musi iść na wojnę, choćby najstarszy, jeżli raz służył w wojsku i jeżeli tego jest potrzeba. Więc i ten Krzywoń musiał porzucić żonę i dzieci i byłby ich już nie ujrzał w swem życiu, gdyby nie Stach poczciwy.

Ponieważ Krzywoń jako ranny był już niezdolny do boju, więc prosił komendanta, który go chciał posłać do szpitalu, aby mu pozwolił wrócić do domu, a on się sam będzie leczyć. Ponieważ po szpitalach zaś i tak nie było miejsca, więc komendant pozwolił. Wtenczas Krzywoń jeszcze drugą zaniósł prośbę. Rzekł on do pułkownika swego:

— Panie pułkowniku! Między żołnierzami austryjackimi, wziętymi do niewoli, jest jeden, któremu ocalenie mego życia zawdzięczam. Proszę, aby on mógł pójść ze mną i aby w moim domu przebył niewolę, a ja za niego ręczę pod własną karą, że nie ucieknie.

Na szczęście pułkownik pozwolił na to i Stach pojechał z Krzywoniem.

Cóż to była za radość, kiedy Krzywoń przybył niespodziewanie do swojej rodziny, która modliła się i płakała w wielkiej trwodze o niego! Krzywoń powiedział zaraz swojej żonie i dzieciom, kto jest Stach i jak on mu w bitwie życie uratował — a cała rodzina z wdzięczności za to mało na rękach Stacha nie nosiła. Stach przedewszystkiem napisał list do swjej matki, aby uspokoić i pocieszyć niebogę. Krzywoń miał dwóch synów i trzy córki a najstarsza była Magdusia, dziewczę ośmnastuletnie, hoże i dobre aż miło.

Gospodarstwo Krzywonia było bardzo duże — był on sobie prostym wieśniakiem a miał tyle gruntu i bydła, co niejeden dzierzawca i na całą okolicę słynął z swego wielkiego

mienia. Był on też i zawołanym gospodarzem — znał się doskonale na wszystkiem i coraz więcej grosza przysparzał.

Napatrzył się Stach w jego domu na wiele dobrego. Widział on tu między poznańskim czyli wielkopolskim ludem, wszędzie dobre gospodarstwo i oświatę. Zauważał, jak tu lud wiejski więcej się uczy, jak lepiej gospodaruje, jak lubi czytać i lepsze z tego powodu posiada mnienie i myślał sobie nieraz:

— Mój Boże! gdyby to i u nas tak się ludzie garnęli do nauki i oświaty!

W domu Krzywonia wszyscy Stacha polubili — ale już to najwięcej życzliwości miał Stach do pięknej Magdusi! Dziewczyna ta ledwie tylko okiem nań spojrzała, zaraz przypadła mu do serca — a ledwie kilka dni minęło, już Stach pokochał ją całą duszą, a poznać było można od razu, że i dziewczyna skłania się swem serduszkiem do niego.

Kiedy Stach rozmyślał nad tem, brał go smutek i wielka zgryzota — i myślał sobie:

— Na jaki koniec ja sobie bałamucę głowę tą dziewczyną! Ona bogata, a ja nędzarz, cóż z tego być może za skutek!

I chciał sobie swą miłość wybić z głowy i serca — ale to nie tak łatwo jakby się komu zdawało, bo na miłość nie ma lekarstwa, a starodawna piosnka polska mówi dobrze, że „serce nie sługa, nie zna co to pany!...“

Gdy się tak biedzi i martwi, nadchodzi naraz wiadomość, że pokój już zawarty i że jeńcy z niewoli pruskiej mają natychmiast powrócić. W pierwszej chwili ucieszył się tem bardzo Stach, bo mógł wracać zaraz do swojej matki, ale gdy mu przyszła na myśl śliczna Magdusia, żal mu owładnął duszę.

Ale jakaż na to była rada? Stach miał na drugi dzień opuścić dom zacnego Krzywonia, więc wieczorem ostatni raz spożył wieczerzę z Krzywoniami, pożegnał się z wszystkiemi z ciężkiem sercem, a już to najciężej mu było pożegnać się z Magdusią, i ułożył się do snu aby raniutko udać się w drogę.

Ledwie słońce zabłysło nazajutrz, a Stach już porwał się z łoża i nie chcąc budzić nikogo, zbierał się w podróż. Ale Krzywoń już był także na nogach.

— No więc już nas żegnasz chłopcze! — rzekł do Stacha.

— Żegnam i za gościnność i dobroć dziękuję! Bóg wam zapłać! — odpowiedział Stach.

— A czy sobie trochę na nas kiedy wspomnisz?

— O panie gospodarzu, póki życia nie zapomnę o was i o waszych! — odrzekł Stach.

— I o Magdusi? — zapytał Krzywoń i uśmiechnął się.

Stach poczerwieniał jak burak i słowa nawet wyrzec nie mógł.

— No, no, nie wstydź się chłopcze — rzecze Krzywoń, zauważałem ja, żeście wy sobie z Magdusią do serca przypadli. Otóż ci powiem szczerze: Poznałem cię jako poczciwego i pracowitego chłopaka, i chętnie ci oddam Magdusię i gospodarstwo kupię!

Stach z radości wielkiej oniemiał, a potem padł do nóg Krzywoniowi i uściskał mu kolana. Ułożyli tedy, że Stach ma iść do domu i przywieźć z sobą matkę — a potem odprawi się wesele. Krzywoń dał Stachowi dużo pieniędzy na drogę i na przypilnowanie tej prośby, którą podał o uwolnienie od wojska i odprowadziwszy go do Poznania, pożegnał go serdecznie. Z Poznania pojechał Stach koleją żelazną aż do Krakowa, z Krakowa dalej, a gdy przyjechał do miasta, gdzie było bióro werbownicze jego pułku, dowiedział się, że jego prośba została według prawa wysłuchaną i dano mu zupełne uwolnienie od wojska.

Stach najął wóz i pojechał do swojej wsi, spiesząc się do matki.

Kiedy kilka miesięcy temu Stach opuszczał jako biedny rekrut swą wioskę piechotą, z bolem w sercu i tęsknotą w duszy, czy się spodziewał, że będzie wracać tak szczęśliwy i wesoły?.... A co to za radość była, gdy ujrzał swą matkę! Staruszka biedna, która myślała, że go już nie obaczy, wylewała łzy radości nad ukochanym synem, a xiądz proboszcz uradowany tem zdarzeniem, mówił:

— Bóg nie opuszcza dobrych! Dobrym wszędzie, dobrze będzie.

Stach nie długo bawił we wsi, zabrał z sobą matkę i będzie temu może dwa tygodnie, kiedy pojechał do Xięstwa poznańskiego. Teraz pisał do xiędza proboszcza, że wesele jego odbędzie się za miesiąc, że mu Krzywoń kupił grunt piękny i chatę jakby dwór jaki stawi. W liście tym prosił xiędza proboszcza o błogosławieństwo, i na znak, że nikomu złego nie pamięta, prosił od siebie pozdrowić stryjecznego brata Janka.

A co się stało z tym Jankiem? Ożenił się z bogatą dziewką, ale mu szczęścia w dom nie przyniosła — chyba piekło, bo zła, leniwa i zalotna. Janek się rozpił, w domu ciągłe swary i bójki a gospodarstwo jego upada.

Wojtek ze Smolnicy.

Gadka o żydzie, co chciał być astronomem, to jest takim uczonym, co bieg gwiazd śledzi na niebie.

Ciekawy żydek, chciał być astronomem,
Ojciec to słysząc wpadł na niego z gromem:

„Co tobie głupcze łazić aż po niebie?
Tu w kilku słowach ja nauczę ciebie:
Słońce to dukat — jemu honor wszelki;
On możnie świeci, bo jest magmat wielki.
Miesiąc to talar, on się w nocy rodzi,
Zawsze jak szlachcic za magnatem chodzi!
Te w mlecznej drodze rozsypane kropki
Drobne szóstaczki — pod nazwiskiem chłopki,
Co się gwiazd tyczy, nie wielkie kozery,
To są mieszczanie — same cwancygiery.“

B a j k a o o s i o ł k u.

Osiołkowi w żłoby dano
W jeden owies — w drugi siano;
Uchem strzyże, głową kręci
I to pachnie i to nęci:
Od którego teraz zacznie,
Aby sobie podjeść smacznie?
Trudny wybór, trudna zgoda;
Chwyci siano, owsa szkoda,
Chwyci owsa, żal mu siana;
I tak stoi aż do rana,
A od rana do wieczora,
Aż nareście przyszła pora
Że oślina w pośród jadła
Z głodu padła.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.